

Himiłsbach

23 października 2017

W ub. roku minęło osiemnaście lat od śmierci Jana Himiłsbacha. Rocznicą minęła jakoś bez większego echa, a przecież postać ta jest ciągle żywa w pamięci nie tylko warszawiaków.

Był zwykłym człowiekiem, ale jednocześnie osobą niezwykłą, bo z prostego kamieniarza, obciążonego nałogami, stał się aktorem znanym w całej Polsce. Pamiętamy go z filmów „Rejs” i „Wniebowzięci”, gdzie wraz ze swoim przyjacielem Zdzisławem Maklakiewiczem zagrali główne role. Na trwałe utkwił w naszej pamięci jako jeden z głównych bohaterów serialu „Jan Serce”, oraz wielu innych charakterystycznych wcieleń filmowych, których nie jestem w stanie wymienić.

Jednak to ani role filmowe, w których – co tu dużo mówić – nie stworzył wielkich kreacji, nie wykazał się nawet dojrzałym warsztatem artystycznym, ani jego próby literackie („Monidło”, „Przepychanka”, „Łzy sołtysa”) nie przyniosły mu tej ogromnej popularności. To jego ochrypły głos i niezbyt inteligentny wyraz oblicza ze złamanym nosem, z jakże realistycznie wymalowaną na twarzy ciężką przeszłością bywalca podejrzanych knajp i kolegów karno-administracyjnych, twarzy jakby żywcem wyjętej z wianuszka osobników otaczających budkę z piwem, przyniosły mu ogromne powodzenie wśród publiczności.

Fenomen jego popularności polegał również na tym, że z Himiłsbachem utożsamiali się zarówno goście melin na Brzeskiej, smakosze tanich win z Powiśla, gdzie Janek mieszkał, ale również ludzie filmu i środowisk twórczych.

Anegdoty o Himiłsbachu, jego knajpiarsko-pijackich przygodach są ciągle opowiadane i nadal żywe, jak żywa jest legenda, którą stworzył już w latach siedemdziesiątych.

Właśnie w czasach prosperity i beztroski tamtych lat poznałem Janka. Nie byliśmy przyjaciółmi, ale mieliśmy wspólnych

znajomych i nasze drogi skrzyżowały się kilkakrotnie.

Jakiegokolwiek wspomnienie Himilsbacha jest absolutnie niemożliwe bez przytoczenia jego wypowiedzi. Te zaś stanowią istotę wszystkich anegdot o tej jakże barwnej postaci, nie dadzą się przekazać bez wulgarnych przerywników, których tak często i chętnie Janek używał. I bynajmniej nie były to przerywniki typu drobiowego, jak „kurka wodna”, czy „kurczę pieczone w pysk”. Ten aktor-amator używał wulgaryzmów z pełną swobodą, nie zwracając większej uwagi na otoczenie. Trzeba przyznać, że pod tym względem wyprzedził epokę i wyrażał się niemal tak, jak czyni to dzisiejsza młodzież powracająca ze szkół, często po najważniejszej lekcji, jaką jest niewątpliwie religia.

Anegdotki z życia Himilsbacha często opowiadał wybitny aktor Wojciech Siemion i do dziś są opowiadane w środowisku starszych aktorów ponieważ z ich inspiracji powstał ten artykuł. Chcąc osiągnąć pełen efekt komizmu sytuacyjnego, aktorzy muszą zwracać się do publiczności zachowując całkowity autentyzm wypowiedzi. Dlatego ja jestem w lepszej sytuacji, bo w tekście dokonam niezbędnych skrótów licząc na domyślność moich kulturalnych czytelników.

Himilsbach, jak wiadomo, był kamieniarzem i z racji wykonywanego zawodu dłuższy okres życia doczesnego spędził na warszawskich nekropoliach stawiając nagrobki.

Pewnego słonecznego, wiosennego dnia przejeżdżając obok cmentarza z kumplem, z którym pół godziny wcześniej wytrąbili flaszkę czystej, jako znakomity obserwator życia, nie mógł powstrzymać się od wypowiedzi:

– Zaraz będziemy mogli usiąść, bo na tym przystanku wychodzą wdowy!

I rzeczywiście. Po tym komunikacie, wypowiedzianym donośnym, ochrypłym i jakże zdartym głosem wywołującym niejedną uśmiech na obliczach współpasażerów przepełnionego autobusu,

kilkanaście matron uniosło swe obfite w kształtach odwłoki. Z kwiatami, wiaderkami i innymi akcesoriami ruszyły mamrocząc coś pod nosami w kierunku drzwi wyjściowych. Kiedy wysiadły, istotnie zrobiło się luźniej.

– Zobacz Mietek! Najpierw stare ropele wykańczają mężów ciągłym gderaniem, a teraz wożą kwiatki i czyszczą groby. Taka jedna z drugą nie pomyśla k..., że całe życie truły człowiekowi dupę na temat jego śmierdzących skarpetek. Zawsze piekliły się, że chłopina przynosi za mało pieniędzy – kontynuował Jaśko.

Rechot męskiej części współpasażerów dopingował Himilsbacha do dalszej wypowiedzi:

– Teraz, kiedy więdmy zbiorą się w stado nad mogiłą nieszczęśnika, to w tym źmijowisku jedna przez drugą przechwalają się, który to nieboszczyk za życia był lepszy...

– Więc pijmy i żyjmy Mietek, jak najdłużej, bo po śmierci też k... nie zaznasz spokoju!

Kiedyś Janek opowiadał swoją przygodę w „Kameralnej” przy ul. Foksał. Wśród jego kumpli był niejaki inż. Starościński ze swoją „narzeczoną”.

Małżonka Barbara, którą Himilsbach nazywał Basicą, musiała wyjść po zakupy, a jednocześnie chciała, by Janek nie wychodził z domu i wytrzeźwiał. Sprawa wydawała się prosta, bo Jaśko spał jak niemowlę i nie słyszał, że został zamknięty w mieszkaniu od zewnątrz. Ze spokojną głową poszła więc do sklepu, a należy przypomnieć, iż w tamtych czasach długo trzeba było stać w kolejkach, by cokolwiek kupić.

– Budzę się k..., a tu wierzeje zamknięte na cztery spusty. Basica gdzieś poszła, a mnie tu k... mało bebeczków nie wypali. Patrę do jednej kieszeni – pusto... Zaglądam do drugiej – jest! – jakaś zmięta stówa. O, mając taki banknocik to już można coś zdziałać. No, ale jak tu k... wyjść z tej nory? Otworzyłem okno

i patrzę w dół.

– Może by mnie tak straż pożarna zdjęła? Przecież czasem zdejmują koty z drzewa, to pomogą biednemu robaczkowi? Chyba też są trunkowi i rozumieją człowieka w potrzebie. Takie i inne głupie myśli mi k... po głowie chodzą. Ale patrzę, idzie ulicą Broda, no taki kumpel. Chcę k... krzyknąć: „Broda”, ale nie mogę z siebie wydobyć głosu, tak mnie rura paliła. Złapałem doniczkę i pierdut w dół, aż chłopina mało zawału nie dostał. No, ale co k.. miałem zrobić? Macham do niego żeby przyszedł, to on przyszedł. Staął pod drzwiami i dzwoni.

– Nie dzwoń – krzyczę (a głos mam jak szept topielca z głębi studni), chcę coś wychlać na kaca!

„Jawora”, znaczy się stówę, to mu podałem szczeliną między drzwiami a progiem.

– No i co dalej? –myślę sobie.

Broda poleciał do monopolu i do chałupy po narzędzia. Jak zaczął wiercić dziurę w drzwiach, to dopiero pokapowałem się, o co chodzi. Broda instalował przecież zawodowo wizjerki w drzwiach, zamki itp. pierdoły. Jak wywiercił dziurę, to podał mi gumowy wężyk do ściągania wina. Z jednej strony wsadził wąż do butelki, a z drugiej ja mogłem ciągnąć jak Starościński ssie cyca swojej tłustej Helci. I tym sposobem wydoiłem całe pół litra.

Z drugiej strony popatrzcie: baba zawsze postawi na swoim. Przecież zawsze chciała mieć w drzwiach wizjer, ale ja się nie zgadzałem, żeby się k... nie czuć jak pod celą.

Minęło kilka lat, w czasie których ani razu nie spotkałem Himilsbacha. Świat ma jednak mniejsze gabaryty niż myślimy. Będąc służbowo w Malborku, nie znając miasta, szukałem jakiegoś przybytku, gdzie można coś zjeść. Głodny byłem jak wilk, toteż wessała mnie pierwsza napotkana „mordownia”.

Grymas obrzydzenia wykrzywającego moje oblicze podczas spożywania schabowego składającego się z wielokrotnie obgryzanej kości, otoczonej bułką i rozpaćkanych kartofli upstrzonych czarnymi, twardymi grudami zamienił się w uśmiech. Oto przez otwarte drzwi sali bezałkoholowej, w której miałem radość siedzieć przy zalanym obrusie przypominającym ścięgno do podłogi, ujrzałem Janka z jakimś człowieczkiem żłopiących piwko w sąsiednim, mniej ekskluzywnym pomieszczeniu.

– O, myślę sobie – Jaśko musi mieć niezłego kaca, skoro chłodzi rozpalone trzewia piwem.

Nie było moim marzeniem, aby dzień spędzić trunkowo, ale ciekawość bywa czasem gorsza od samego Tuska, czy innego Balcerowicza. Tę ciekawość mogłem przypłacić przykładowym mordobiciem, chociaż w tamtych czasach pozbawienie zębów obywatela przez innych obywateli prokuratura uważała za czyn szkodliwy społecznie, a sądy karały z całą surowością ówczesnego „zbrodniczego” prawa.

Za namową szatana zostawiłem jarzynkę przypominającą bardziej krowie łajno niż szpinak oraz kość z przeznaczeniem do dalszej obróbki przez szefową kuchni, kupiłem kufel piwa i dosiadłem się do aktora.

Himilbach zapomniał już skąd mnie zna, ale wiedział, że jestem z Warszawy. Dlatego dyplomatycznie zwracał się do mnie „Ziomek”. Moje zaskoczenie radością i wylewnością, z jaką mnie przywitał wyjaśniło się natychmiast.

– Postaw Ziomał piwo, bo jesteśmy k... goli.

W trakcie wychylania następnych kuflów obficie chrzczonego piwa, dowiedziałem się jaki to przypadek zrządził, że Himilbach, przywiązany do swoich warszawskich kątów trafił aż do Malborka.

Przyszedł do mnie Kazik (tu Janek wskazał na łysawego kolegę, jeszcze szczuplejszego i niższego niż on sam) i zagaja:

– Chodź, pojedziemy do Pieścirogów na świniobicie. Przywieziemy trochę chabaniny, to się nasze baby ucieszą, a my pochłamy krzakowy, bo szwagier niedawno pędził.

W Dzięciołach i łysobykach koło Tłuszczu to ja kiedyś byłem – mówię – ale gdzie są k... te Pieścirogi?

– A bliziotko – zapewnia Kazik – zaraz koło Nasielska, no z godzinę jazdy z Dworca Gdańskiego.

I tak bajtlował, że mnie k... zbajerował.

– Rzeczywiście – kontynuował Himilbach, te Pieścirogi są blisko stacji. Wieś ładna, zadbana, no, ale jak zaczęliśmy degustować ten bimber, to się k... do środka nocy zeszło. Siostra Kazika zrobiła nam paczki z mięchem i wyrobami, a szwagier wetknął po butli księżycówki.

– Porządny chłopina – westchnął Janek i kontynuował dalej.

– Ledwo przyczłapaliśmy na stację, bo swojska wódka zrobiona była fachowo i w nogi lepiej wchodziła niż monopolowa. Wtoczyliśmy się na peron, bo zaraz miał wjechać pośpieszny do Warszawy. Na torze obok stała lokomotywa spalinowa, która robiła tyle hurkotu, że człowiek swoich myśli k... nie słyszał. Piździło jak w Kieleckiem, toteż marzyłem tylko o tym, żeby jak najszybciej wejść do ciepłego przedziału i posadzić tyłek na miękkim siedzeniu. Grobowy głos z megafonu, jak z głębi piekieł, zapowiadał wjazd pośpiesznego. Przez tę pieprzoną spalinówkę zrozumiałem tylko jedno słowo: Gdańsk. Wiadomo – myślę – Dworzec Gdański. Kazik ledwo trzymał się na nogach, ja nie pamiętałem, z której strony przyjechaliśmy, więc k... pytam konduktora:

– Panie, czy to na Gdański?

– Tak, tak, do Gdańska!

Bilety mieliśmy powrotne tylko na osobowy, dlatego kanarowi pokazałem flaszkę, żeby się nie czepiał. Widać swój człowiek,

bo nas k... zgarnął od razu do przedziału służbowego. Szklana po szklanie i obaliliśmy butlę we dwóch, bo Kazik nie kojarzył czy jedzie pociągiem, czy leci samolotem.

Budzę się, zimno k... jak w Irkucku, a za oknem blady świt. Patrzą, a tam jakieś lasy, jeziora, czerwona dachówka na domach.

– Przecież to k... nie Zegrzynek! – popadłem w panikę.

Złapałem cały majdan, Kazika za poroże i chodu na peron. Czytam napis na dworcu, a to k... Malbork. Nogi mi się ugięły, a konduktor do nas leci i krzyczy:

– Panowie, to jeszcze nie Gdańsk!

Wtedy dopiero dogadaliśmy się, jak doszło do nieporozumienia. Całe szczęście, że chłopak z Pragi, bo kiedy pociąg ruszył, zdążył nam powiedzieć, że jak będzie wracał wieczorem, to nas zabierze. O bilety nie musimy się martwić.

No, ale co tu k... robić do wieczora w obcym mieście bez grosza przy duszy? Poszliśmy pod zamek krzyżacki i nad Nogatem wypiliśmy flaszkę, która ocalała. Zagryźliśmy kaszanką i długo myśleliśmy, co dalej.

– Chodź Janek, opylimy to ścierwo co mamy w paczkach, a kobitom powiemy, że nam łapiduchy ukradli w żłobku na Kolskiej – zaproponował Kazik.

Pomysł był przedni. Basica w kolejce pod sklepem słyszała od jednej plotkary, że jej sąsiadowi w tym bełkotliwym hotelu dla trunkowych buchnięto kaczkę. I to całkiem żywą.

No tak, w Warszawie to by człowiek pojechał na bazar Różyckiego i opchnął świnie z ucałowaniem ręki. A tu, w tym p... Krzyżakowie, to bujaliśmy się ze cztery godziny. Baby marudziły, że mięso nie badane, nieświeże, a może to psina, albo kradzione. Jedna to nawet na nas gliniarzy napuściła. Ledwo nawialiśmy.

Tu nastąpił gwałtowny stek przekleństw i obelg pod adresem miejscowej ludności, szczególnie zaś kobiet, które Himilsbach z upodobaniem i nienawiścią zaczął nazywać Krzyżaczkami.

– Niewiele wzięli za to mięso – pomyślałem – skoro już je przepili.

Zaczęło robić się późno. Knajpiany gwar przerodził się w jazgot. Miejscowi smakosze, już mocno wstawieni, walili piąchami w stoły. Dwóch zaczęło się bić. I wtedy stało się najgorsze.

Himilsbach wstał od stolika, chwiejnym krokiem podszedł do walczących mężczyzn i głośno, jak tylko potrafił powiedział:

– Ja bym wam Krzyżacy wręczył miecze. Na miecze powinniście się k... naparzać!

Na sali zrobiło się cicho. Słyszał tylko szum wody, którą bufetowa byle jak płucała kufle i chrzciała piwo, całkiem obojętna na to, co się dzieje na sali.

Ci dwaj przestali się bić. Popatrzyli porozumiewawczo na siebie i natarli na Janka.

– A ty kurdupłu, coś za jeden?

– Kazik skoczył kompanowi na pomoc, ale szybciej wpadł pod stolik, nim dotarł pod łapska osiłeków.

Przyznaję, cykorie miałem wielką, ale przecież nie mogłem zostawić znajomych w potrzebie. Szczęśliwie udało mi się przekupić obrażonych małborczyków wódką. Kosztowało mnie to cały zasób gotówki, jaki posiadałem.

Dopiero po kilku kolejkach Janek (przy mojej wypowiedzi) został rozpoznany jako aktor. Ci dwaj okazali się porządnyimi, ciężko tyrającymi ludźmi. Nawet proponowali nam nocleg i gościnę. Rozstaliśmy się w zgodzie i przyjaźni. Odprowadzili nas na dworzec, gdzie wsiedliśmy do pociągu witani przez

konduktora z Pragi, jak dobrzy znajomi.

Okazało się, że Janek z Kazikiem nie przepili wszystkich pieniędzy. Kupili wcześniej litr wódki na drogę. Jak widać pomysłowość i zapobiegliwość pijacka nie zna granic.

A jak wyglądała podróż do Warszawy? Nie pamiętam...

To było moje ostatnie spotkanie z Himilsbachem. Później oglądałem go już tylko w telewizji.

Myślę, że mógłby powstać film o tym aktorze. Na pewno byłby to ciekawy obraz o charakterze komedii obyczajowej. Ale sam pomysł to za mało, bo kto da pieniądze na produkcję?

Nasza telewizja znajduje środki na zakup kretyńskich, amerykańskich filmów, których treści nie pamięta nikt już na drugi dzień po obejrzeniu. Preferowana jest popularyzacja zachodniej, obcej kultury, aby młodzież mogła czerpać wzorce zachowań. Co z tego małpowania wychodzi, wszyscy widzimy.

Z przyjemnością wspominałem atmosferę knajp lat osiemdziesiątych, odwiedzanych tłumnie przez ludzi pracy. Te tanie restauracje, bary, piwiarnie były może obskurne, ale było nas na nie stać. Niestety, to było, minęło i nie wróci. Przeszło jak beztroski sen z dawnych lat.

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: Patriota-Tarkowski.blogspot.com